

Maria Szamot

OTO TY,
ADAMIE

Wydawnictwo WAM
Kraków 2010

© Wydawnictwo WAM, 2010

Redakcja
Renata Komurka

Projekt okładki
Andrzej Sochacki

ISBN 978-83-7505-312-8

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-256 • faks 12 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl
Zapraszamy do naszej

KSIĘGARNI INTERNETOWEJ
<http://WydawnictwoWAM.pl>
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
wydawnictwowam.pl

SPIS TREŚCI

WSTĘP.....	5
1. NA POCZĄTKU...	9
2. PRZEBUDZENIE NIEWIASTY.....	31
3. SIEDEM RAZY SŁABOŚĆ.....	61
a. Słabość moja własna.....	64
b. Słabość polegająca na zagubieniu w uniwersum sensów...	71
c. Słabość <i>versus</i> przemoc otoczenia.....	76
d. Słabość w obliczu rozpoznanego powołania.....	82
e. Słabość jako wyzbycie się mocy.....	85
f. Słabość jako zbytęczność mocy.....	90
g. O radości bycia słabym.....	96
4. CZTERY SŁOWA WOLNOŚCI.....	107
a. Embrion wolności.....	108
b. Pierwsze słowo wolności – „chcę”.....	117
c. Drugie słowo wolności – „nie”.....	128
Wolność jako swoboda.....	128
Wolność w okowach prawa.....	131
d. Trzecie słowo wolności – „ja”.....	134
Wolność za cenę wyobcowania.....	134
Indywidualność jako miejsce wolności.....	138
Wolność, która się wyczerpuje.....	141
e. Ostatnie słowo wolności – „Bóg”.....	148
5. DWIE UFNOŚCI.....	158
a. Ufność, która chwyta się konkretnu.....	174
Wzorzec społeczny.....	174

System pojęciowy	179
Osobiste doświadczenie	184
Koniec trasy	191
b. Ufność, która nie ma się czego uchwycić	200
Pierwsze kroki	200
Droga	206
Na razie dotąd	211
6. ANI JEDNA JOTA.....	230

WSTĘP

Czy pytanie o naturę człowieka ma sens w XXI wieku? Czy warto jeszcze stawiać to pytanie teraz, gdy zrobiło się nas tak niesłychanie dużo? Gdy droga do pracy, najdrobniejszy zakup, rzut oka na gazetę, weekendowy wypad podsuwa przed oczy niezliczone szeregi twarzy i ciał, a za sprawą telewizora nawet przez nasze mieszkanie codziennie przemaszerowują nieprzebrane tłumy? Parafrazując znany tekst: człowiek jaki jest, każdy widzi, więc o co tu pytać?

Drugi człowiek stał się dziś elementem tła. Zszedł do roli niezbywalnego appendixu do świadczonej nam usługi, rutynowej, bezosobowej, kierowanej do wszystkich. W ten sposób przestał być interesujący. Ani on mnie nie interesuje, ani ja nie interesuję jego. Uczę się go wymijać, nie przeszkadzać mu, nie prowokować go, i jest to jednocześnie najlepszy sposób, by go nigdy nie spotkać jako drugiego człowieka. Jako istotę mnie podobną, równie zaskoczoną tym, co w sobie odkrywa i równie utrapioną brakiem jednoznacznych podpowiedzi. Każde więc z nas, i on, i ja, pozostaniemy nieodwołalnie osamotnieni wobec przecucia, że w tym naszym jednostkowym doświadczeniu siebie musi być jakiś sens, tylko jak go osaczyć? Musi być jakaś nadrzędna struktura, w ramach której funkcjonujemy, tylko gdzie jej wypatrywać? Musi też istnieć taki sposób narracji o człowieku, w którym odnajdziemy się z całą indywidualną komplikacją naszej istoty, a który mimo to nie ucieka

przed intuicją, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego ojca, jesteśmy jednakiej natury, ale gdzie się tego sposobu nauczyć?

W każdym ludzkim czynie i w każdym, najogólniej mówiąc, wytworze kultury tkwi immanentnie jakaś wizja człowieczeństwa, jakiś obraz ludzkiej istoty, jej możliwości lub potrzeb, do których ów czyn albo dzieło apeluje. Bez wątpienia współcześnie najsilniejszy wpływ na kształt tej wizji mają wyniki nauki. Sukcesy nauki są dziś tak olśniewające, tak niepodważalne, że trudno byśmy odmawiali jej kompetencji akurat w tej jednej sprawie. Do koncepcji wypracowanej na gruncie nauk medycznych wspieranych przez nauki społeczne i różnorodne dyscypliny humanistyczne, teologia dorzuca swoje nienaukowe (to znaczy nieudowodnialne metodami przyrodoznawstwa) przekonanie o istnieniu duszy, i w ten sposób powstaje wizja ludzkiej istoty akceptowalna także na gruncie chrześcijaństwa. Czy jednak jest to wizja rzeczywiście chrześcijańska? Czy w oparciu o taki, zbudowany na mieszanej metodologii, w gruncie rzeczy eklektyczny obraz człowieczej natury, da się zrealizować etos Bożego stworzenia? A posiadanie duszy? Jej rolę w popularnej katechezie sprowadzono do tego, że niczym wykwitły liszaju odciskają się na niej nasze grzechy. Czy wynikły z jej posiadania dyskomfort równoważy mglista intuicja życia po śmierci? Czy naprawdę ludzka dusza – swą naturą najbliższa Stwórcy – jest do tego stopnia nietwórcza? Czy uznanie faktu stworzenia świata przez Boga rzeczywiście nie ma żadnego wpływu na strukturę ontyczną człowieka, czy też, przeciwnie, oznacza korektę obrazu tak głęboką, że można odnieść wrażenie, iż mowa o jakimś zupełnie innym gatunku istot? To pytanie stało się przesłanką dla napisania tej książki.

Wobec tak zasadniczych pytań niezrozumiałe może się wydać zamieszczenie w tej książce czterech, co prawda niewielkich, fragmentów tekstu poświęconych Matce Bożej. W pewnym stopniu ilustrują one i uzupełniają treść zasadni-

czą, ale powód ich obecności tutaj był inny. Tradycyjne tytuły do czci, Jej Boskie Macierzyństwo oraz godność Królowej Nieba i Ziemi, dziś, gdy macierzyństwo postrzegane jest jako bezrozumna uległość wobec ślepego instynktu, a królewskość w porze tryumfu demokracji w ogóle mało co znaczy, przestały przemawiać do ludzkiej wyobraźni. W efekcie, mówiąc o Maryi, poprzestajemy na nieznośnie beztreściowych deklamacjach, które łączy i wzajemnie upodabnia w nieskończoność powtarzana i nigdy nie pogłębianą fraza o „Jej *fiat*”. Inspirowane Biblią rozważanie o swoistości ludzkiej natury wydało mi się właściwym tłem, by spróbować przedrzeć się przez zwartą kotarę błękitów, którą utkaliśmy, by przydać Maryi niebiańskiego piękna, a tym sposobem zupełnie nie chcący pozbawiliśmy Ją piękna realnego i splendoru przynależnego prawdzie. Jeszcze chwila, a rozminiemy się z Nią ostatecznie.

1 NA POCZĄTKU...

Od tego, jak człowiek pojmuje siebie, a w konsekwencji, jak odczytuje swój los, jego cel i jednostkowy sens, zależy, jak będzie pojmował Boga. Jeśli postrzega siebie jako istotę niemal bezbronną naprzeciw rwącego strumienia różnorodnych impulsów, to Bóg jest dla niego Wielkim Księgowym, który skrupulatnie prowadzi rejestr wszelkich jego upadków i zwycięstw, a końcowe saldo na tym rachunku zadecyduje o kategorii przysługującej mu wieczności. Jeśli wśród tego rwącego potoku impulsów dostrzega znamiona opieki, to Bóg jest dla niego troskliwym i kochającym Ojcem, który jednak dla siebie wiadomych powodów dozwala, by dotykały go tragedie, cierpienia, śmierć. Jeśli wreszcie widzi siebie jako istotę kochaną, a życie pojmuje jako subtelnie dyskretną, najgłębiej intymną Rozmowę, to Bóg jest dla niego Prowadzącym ten dialog.

Na gruncie wiary pytanie o naturę człowieka, a precyzyjniej o teleologię jego przymiotów, jest więc pytaniem niesłychanie ważnym, bo pociągającym za sobą istotne konsekwencje. Od odpowiedzi na nie zależy, ile potrafimy zrozumieć z natury Boga, którego wyznajemy. W naturalny sposób będziemy szukać tej odpowiedzi na kartach Pisma św., bo to właśnie jego bohaterami są jednocześnie Bóg i człowiek. Pismo, gdy mówi o jednym z nich, nie porzuca drugiego, a jedynie przesuwają go

na trochę dalszy plan, czyniąc punktem odniesienia dla tamtego. W tej księdze zawsze są razem, są nierozdzielni: rozumiem człowieka, gdy wnikam w stwórczy zamysł Boga, i tyle wiem o Bogu, ile podpowiada mi znajomość człowieka¹. A skoro tak, skoro ten kolisty ruch myśli – od Boga do człowieka i od człowieka do Boga – wpisany jest w charakter tej wiedzy, to nigdy nie osiągnie ona kresu. Nigdy nie będzie zamknięta, sformułowana w swej ostatecznej, definitywnej postaci. Jak dla nas i naszych poprzedników w wierze, tak dla pokoleń, które dopiero nadejdą, będzie źródłem zadziwienia i zachwytu, powodem wdzięczności i inspiracją do modlitwy.

Genesis otwiera opis stworzenia świata, który w istocie rzeczy jest medytacją nad naturą Boga. Medytacją prowadzoną w oparciu o wiedzę o świecie, który jest Jego dziełem. W ramach tej medytacji otrzymujemy tzw. pierwszy opis stworzenia człowieka, a nieco dalej drugi, już znacznie bardziej szczegółowy, zakończony opisem upadku i wypędzenia z raju. Ten tekst (*Rdz* 2 i 3) będzie wyjściowym dla rozważań stanowiących przedmiot tej książki. Twierdzą, że zasadnicze dla tego tekstu wątki znalazły swą kontynuację w innych księgach Pisma św. Jest to kontynuacja niezwykle wartościowa, ożywcza i nowatorska dla naszego myślenia o człowieku, ale i o Bogu, i po prostu nie wolno pozostawiać jej dłużej odłogiem. Jakkolwiek treści te ukryte zostały dość szczelnie pod szatą symboli, skądinąd od wieków poruszających ludzką wyobraźnię, to przecież dają się odczytać, budząc podziw dla wnikliwości i precyzji myślenia natchnionych autorów. Przy tym są świadectwem ich bogobojności, w najlepszym, inspirującym sensie tego słowa, co powoduje, że kontakt z ich myślą po prostu sprawia niebywałą przyjemność. Wydaje się niewiarygodne, że ogromny szmat czasu, ponad dwa tysięcy

¹ Uwaga ta odnosi się oczywiście do doświadczenia wiary, a nie treści Objawienia.

lecia dzielące nas od nich nie odebrały ich spostrzeżeniom aktualności ani trafności. A nie odebrały. Mało tego, są dla współczesnego człowieka zmęczonego rosnącą podażą płyt- kich, coraz bardziej wulgarnych rozwiązań, skutecznym anti- dotum. Ale to stanie się widoczne nieco dalej. Na razie jeste- śmy u początku naszych rozważań i zacząć musimy „od jajka”, czyli zadaniem naszym jest teraz przyjrzeć się tzw. drugiemu opisowi stworzenia człowieka (Rdz 2, 7 n.).

Człowiek nie wziął się znikąd. Ciało jest tym elementem, który integralnie łączy go w świat materialny, świat przy- rody. Człowiek jest obywatelem tego świata. Z niego wziętym (z *prochu ziemi*), a więc w żaden sposób ciało nie wyróżnia go, nie wyodrębnia spośród zbioru elementów ten świat tworzących. Pewnym natomiast wyróż- nieniem lub, jak kto woli, ograniczeniem jest fakt, że człowiek został obdarowany *tchnieniem życia*, czyli należy do *istot ży- wych*, jak to nieco dalej określa tekst, gdy mówi o zwierzętach. Na tym etapie dzieła stwórczego człowiek niewiele się od nich różni.

7. *Pan Bóg ulepił człowieka z pro- chu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia – wskutek czego stał się człowiek istotą żywą.*

Stwórca traktuje go jednak z większą starannością niż swe pozostałe stworzenia i oddaje mu edeński *ogród* na środowisko życia. To środowisko jest także Jego dziełem. On zasadził ów ogród w tej szczególnej stronie świata (*na wschodzie*), która odsyła ku miejscu Jego przebywania. Czy założył go specjalnie z myślą o człowieku? Czy ten ogród istniałby, gdyby nie było jego? – to już pytania do Platona. W każdym razie od tego mo- mentu ta prymitywna dotąd istota otrzymuje od Stwórcy do- datkową właściwość: umiejętność przebywania w edeńskim ogrodzie. Ten fakt w zasadniczy sposób określa tożsamość człowieka. Żadne inne zwierzę nie ma tam wstępu. Nie umie

8. *A zasadziwszy ogród w Eden na wschodzie, Pan Bóg umieścił tam człowieka, którego ulepił.*

tam przebywać, bo też przebywanie w tym ogrodzie wymaga ściśle określonej aktywności, na którą stać tylko człowieka².

Ale co właściwie oznacza przywilej przebywania w ogrodzie? Czy jest tam nadzwyczaj pięknie albo żyje się tam wy-

9. *Na rozkaz Pana Boga wyrósł z gleby wszelkie drzewa miłe z wyglądu i smaczny owoc rodzące oraz drzewo życia w środku ogrodu i drzewo poznania dobra i zła.*

jątkowo beztrudno, bez trudu zaspokajają potrzeby, by można było ten przywilej uznać za rzeczywiste wyróżnienie? W rzeczy samej jest pięknie, bo drzewa tego ogrodu są *miłe z wyglądu*, a ich owoce są smaczne, to znaczy

kosztowanie ich sprawia przyjemność i zaspokaja. Jednak te drzewa generalnie są dziwne. Znamy tylko dwa z nich – drzewo życia i drzewo poznania dobra i zła – ale to wystarczy, by zrozumieć, że w tym ogrodzie rosły wyłącznie takie drzewa: drzewa wartości. W botanice charakter środowiska decyduje o doborze gatunków. Halofity nie rosną obok palm, sukulenty wśród wodorostów, euglena na polu kukurydzy. Analogicznie tutaj, drzewa wartości nie mogą rosnąć w otoczeniu jabłonek. Obok drzew wartości, tych wartości znanych nam z nazwy – życia i poznania dobra i zła – w edeńskim ogrodzie rosną inne drzewa tego samego „rodzaju”, np. drzewo dobra, piękna, uczciwości, miłości, a wszystkie one razem wzięte tworzą ów ogród, który jest symbolicznym obrazem świata wartości. Tak rozumiany ogród jest rzeczywiście dostępny tylko człowiekowi. Jego drzewa wydają się mu nie tylko *miłe z wyglądu*, ale bardzo cenne, a owoce *smaczne*, bo karmią jego serce. Bo spożywanie ich potwierdza jego bycie istotą ludzką. Odwracając te obrazy, można powiedzieć, że człowiek właśnie dlatego, że jest człowiekiem, nie potrafi nie kontaktować się z wartościami. Może być niewrażliwym na wiele z nich, ale któraś jednak przyciągnie jego uwagę. W ostateczności, uzasadniając swe

² Mężczyzna będzie mógł nadać nazwy zwierzętom dopiero wtedy, gdy Bóg je do niego przyprowadzi (*Rdz 2, 19*).

życiowe decyzje, powie „bo to się opłaca” i jakkolwiek daleko z tych opłotków do centrum ogrodu, to jednak ciągle jeszcze znajdujemy się na jego terenie.

Człowiek przebywa wśród ogrodu wartości na sposób aktywny. Wartości nie tylko go interesują, podziwianie ich nie tylko sprawia mu przyjemność, ale nadto *dogląda ich*, a więc ma do nich stosunek opiekuńczy.

15. *Pan Bóg wziął zatem człowieka i umieścił go w ogrodzie Eden, aby uprawiał go i doglądał.*

Zwraca uwagę na ich kondycję i rozpoznaje potrzeby. Więcej jeszcze: *uprawia je*, to znaczy zapewnia im właściwe warunki rozwoju, kształtuje, zabezpiecza i broni. W efekcie jego starań ogród wartości rozwija się i pięknieje. Jednocześnie rozwija się, pogłębia i pięknieje sposób odnoszenia się człowieka do (drzew) wartości.

Jesteśmy dziś ogromnie wyczuleni na wartość sprawiedliwości, a przecież załóżkiem ludzkiej wspólnoty było prymitywne stado, rządzące się przemocą i gwałtem, gdzie hierarchię ustalał najsilniejszy osobnik. Od wtedy *doglądamy* sprawiedliwości, a efektem tej wielowiekowej *uprawy* jest ewolucja np. rozumienia kary od brutalnego odwetu (zabiłeś mego syna, mam prawo zabić tobie syna) do kary jako środka resocjalizacji. Jakkolwiek nie dojrzelśmy jeszcze do tego, by umieć tę nieco idealistyczną koncepcję skutecznie przekuć w czyn, to niewątpliwie sytuuje się ona na wyższej gałęzi drzewa sprawiedliwości niż kodeks Hammurabiego.

Może najbardziej oczywistym przykładem obecności każdego w ogrodzie edeńskim jest relacja z wartościami estetycznymi. Mając do dyspozycji ledwie sadzę i ochrę, *doglądali ich i uprawiali je* już mieszkańcy grot w Lascaux, *doglądał ich i uprawiał* wielki Leonardo, w nieskończoność udoskonalając receptury farb, by jak najwierniej oddać hołd pięknu, i z właściwą sobie wrażliwością *uprawia je* zakapturzony dresiarz, szkaradnymi graffiti zasmarowując każdą wolną połąć miejskiego muru.

Człowiek jest więc od zarania historii mieszkańcem ogrodu, a sprawa uprawy i opieki nad drzewami dotyczy każdego jako jednostki, znajdując swój wyraz w jej osobistych wyborach i decyzjach. Odkrywamy świat wartości, lokalizujemy pierwsze jego drzewa jeszcze w dzieciństwie, bujność i wspańiałość ogrodu jest doświadczeniem naszej młodości, definitywne wybory, stanowczość i gesty dbałości należą do wieku dojrzałego. Wobec wartości ciągle jesteśmy w drodze. Ciągłe mamy coś do zrobienia w edeńskim ogrodzie, a to nasze wokół niego zabieganie sprawia, że zwrótnie pozostajemy stale pod jego wpływem. Stajemy się na konkretne, właśnie te a nie inne wartości szczególnie wrażliwi, szczególnie o nie zatroskani. Dajemy temu wyraz w naszych czynach i postawie, i w ten sposób one uobecniają się w ludzkim świecie.

Wracając do historii stworzenia, kim, jaką istotą stał się człowiek w związku z *umieszczeniem w ogrodzie Eden*? Boże *wziął i umieścił* wpisane w porządek aktu stwórczego oznacza, że odtąd człowiek ma rozwinięte życie wewnętrzne, bogatą psychikę i złożoną emocjonalność, bo tego wszystkiego wymaga odkrywanie, podziw i dbałość o wartości. To wspańiałe wyposażenie sprawia, że wyrasta wysoko ponad świat przyrody ożywionej, definitywnie się z niego wyodrębnia, choć ciągle jeszcze w Bożych oczach nie został wywianowany dostatecznie. Brakuje mu czegoś, co sprawi, że w hierarchii ziemskich stworzeń znajdzie się najbliżej Niego.

Ogród wartości okazuje się być dla człowieka miejscem nie do końca bezpiecznym. Jest darem wspańiałym – przebywając w ogrodzie przeżywa on swe najwyższe wzloty i najgłębsze fascynacje, a także nieustannie rozwija się i sam pięknieje w kontakcie z wartościami, ale pośród tych wartości są i takie, które są dla niego groźne nie ty-

16. *A przy tym Pan Bóg dał człowiekowi taki rozkaz: „Z wszelkiego drzewa tego ogrodu możesz spożywać według upodobania; 17. ale z drzewa poznania dobra i zła nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz”.*

le ze swej natury, ile z powodu ludzkiej niewystarczalności. Bezcenny dar wstępu do ogrodu został nam dany trochę na wyrost. Nie panujemy nad nim. Nie ogarniamy wzrokiem jego rozmiarów, nie umiemy przewidzieć, jak wpłynie na nas pobyt w tym ogrodzie, ani jakie następstwa dla naszego losu będzie miało *dogłądanie* wartości. Tu, w ogrodzie wartości człowiek odkrywa różne odcienie swej słabości. Odkrywa zarówno swą ułomność i nieskuteczność w zabieganiu o wartości, jak i to, że porusza się wśród nich tak naprawdę po omacku. Jego wybory nie są w pełni wyborami, to znaczy nie spełniają wszystkich warunków, jakie przypisujemy aktowi wybierania, a ich następstwa są dla niego nieprzewidywalne. I to jest pierwsze ważne spostrzeżenie dotyczące natury człowieka – że przy całym swym bogactwie jest on istotą wielorako słabą, niewystarczająco ukwalifikowaną, gdy oceniać go z perspektywy wymogów, jakie stawia przed nim skomplikowany świat, w którym funkcjonuje.

Samotność ma nieskończenie wiele twarzy. Samotnym można być w tłumie ze swoim zmartwieniem albo radością, które nikogo nie obchodzą, ze swoją fascynacją jakąś sprawą, której nikt nie podziela, albo swoim niespełnieniem w świecie wartości, bo uparliśmy się spożywać z drzewa, którego owoce rosną dla nas zbyt wyso-

Tego rodzaju samotność, samotność w obliczu edeńskiego ogrodu wartości, domaga się *pomocy* rozumianej jako dopełnienie możliwości człowieka, takie, które mu zrekomensuje to poczucie samotności. Ma ono sprawić, że właściwy jedynie człowiekowi trud kontaktu z wartościami, które ze swej natury odsyłają go i wskazują gdzieś ponad i poza siebie (np. w strukturze ogrodu centralne, a więc w pewien sposób najdoskonalsze, najwyższe w hierarchii jest drzewo życia, tradycyjnie uważane za symbol nieśmiertelności), stanie się dla

18. *Potem Pan Bóg rzekł: „Nie jest dobrze, żeby mężczyzna był sam; uczynię mu zatem odpowiednią dla niego pomoc”.*

niego zrozumiały i na miarę sił. Po cóż istocie doczesnej, zlepkowi galaretowatych komórek i elektrycznych impulsów, intuicja nieśmiertelności, najwyższego dobra albo doskonałego piękna, którą zyskuje, przebywając w ogrodzie, jeśli wie ona, że nigdy czegoś takiego nie doświadczy, że w te rejony nie ma dla niej wstępu? Taka wiedza tylko boli. Uświadamia brak, za który nie jesteśmy odpowiedzialni, i frustruje. Tego bólu chce Adamowi oszczędzić Stwórca, zamierzając *uczynić* mu *odpowiednią dla niego pomoc*. Uzasadnieniem dla powyższych uwag jest opis nazywania zwierząt.

Dla człowieka, istoty inteligentnej i wielorako wrażliwej, możliwość intelektualnego poznawania świata jest niewątpliwie wysoką wartością. Sytuacja, w której mężczyzna poprzez nadanie nazw dokonuje dystynkcji w otaczającym go świecie przyrody, jest przykładem jego aktywności w ogrodzie war-

tości. Drzewem, które *uprawia i dogląda*, jest drzewo poznania. W efekcie tej swojej aktywności potrafi formułować stwierdzenia, które celują poza przedmiot jego teraźniejszego zainteresowania. Poznanie świata zwierząt

20. *I tak mężczyzna nadal nazywa wszelkiemu bydłu, ptakom powietrznym i wszelkiemu zwierzęciu polnemu, ale nie znalazła się pomoc odpowiednia dla mężczyzny.*

podsuwa mu spostrzeżenia dotyczące jego samego, jego natury (innej, bogatszej niż zwierzęca) i jego sytuacji egzystencjalnej (osobliwej samotności w świecie wartości i poczucia braku pełni doświadczanego w relacji z nimi). W świecie przyrody ani też w świecie wartości, czyli nigdzie tam, gdzie funkcjonuje *mężczyzna*, nie istnieje nic takiego, żadna *pomoc*, co mogłoby ująć ciężaru tym jego spostrzeżeniom. Nic, co ratowałoby go przed bezsilną, otchłanną frustracją.

Kontynuując dzieło stworzenia, Bóg sam udziela człowiekowi tej *pomocy*, powołując do istnienia *niewiastę*. Logika tej z gruntu symbolicznej opowieści każe postawić pytanie, co kryje się pod tym symbolem? Niewiasta jest kimś gruntow-

nie różnym od mężczyzny, bo powstała z odmiennego budulca (nie z *prochu ziemi*, lecz z jakiegoś nienazwanego tu materiału, którym Bóg dysponuje) i w wyniku zastosowania całkowicie odmiennej techniki, ale jednocześnie, ponieważ to jego żebro jest osią jej konstrukcji, jest z nim głęboko związana, przynależna jemu i tylko jemu.

21. *Wtedy to Pan sprawił, że mężczyzna pogrążył się w głębokim śnie, i gdy spał, wyjął jedno z jego żeber; a miejsce to zappełnił ciałem. 22. Po czym Pan Bóg z żebra, które wyjął z mężczyzny, zbudował niewiastę.*

To wyznaczenie jedności, nieistnienia barier pomiędzy *mężczyzną* i w tak osobliwy sposób powstałą *niewiastą*, pozwala zinterpretować ten obraz jako ostatni akt dzieła stworzenia człowieka. Jako akt dopełnienia jego natury, taki który istotnie modyfikuje następstwa wynikające z jego przebywania w ogrodzie wartości³.

A gdy ją przyprowadził do mężczyzny, 23. mężczyzna powiedział: „Ta dopiero jest kością z moich kości i ciałem z mego ciała!”

Odtąd buszując wśród drzew wartości, człowiek (już nie *mężczyzna*) nie tylko intelektualnie uchwytuje ideę doskonałości, ale ta doskonałość zaczyna mieć dla niego Imię. I nie tylko podziwia Doskonałość, ale chce być blisko Niej. Odkrywa w sobie narodzoną nie wiedzieć kiedy, podczas *snu*(?), *niewiastę*, która żyje w nim, w ukryciu, wychylona ku sensom, których on nie wyznacza, ożywiana tchnieniem, które nie czerpie z jego witalności. A bywa nawet, że dostrzegając zdumiewające metamorfozy, które się w nim w perspektywie lat dokonują, uda mu się w mgnieniu oka ujrzeć rozkwitającą urodę tej utajonej *niewiasty*, usłyszeć jej imię własne tożsame z jego powołaniem i zamaryć o wieczności.

³ Takiego wpływu (*pomocy*) nie można oczekiwać od niewiasty jako po prostu towarzyski życia mężczyzny. W wyjątkowo szczęśliwej sytuacji jej obecność mogłaby nieść mu ulgę w jego aksjologicznej samotności, ale na doświadczenie osobistej niewystarczalności, braku pełni powstające w kontakcie z wartościami, nie miałyby wpływu.

Z żebra, które Pan Bóg wyjął z mężczyzny, zbudował niewiastę. Znaczy to, że elementem istotowo łączącym ją z *mężczyzną*, a jednocześnie materią, która stanowi oś jej konstrukcji, a więc decyduje o jej sile i charakterze, jest ciało. Bez *mężczyzny* nie byłoby *niewiasty*, przynajmniej w takim kształcie, o jakim tu mowa. *Żebro, które wyjął z mężczyzny*, a więc jakaś jego cząstka. Nie byle czyja, ale właśnie jego, nosząca jego indywidualne cechy. Innymi słowy, duch ludzki, bo to on w oczywisty sposób ukrywa się pod symbolem *niewiasty*, jest w istotny sposób związany z cielesnością i psychicznością człowieka. Nie jest ozdobnikiem dodanym z rozdzielnika do już gotowego produktu, kwiatkiem przypiętym do butonierki, ale czymś fundamentalnym, wprawdzie samodzielnym, lecz nie autonomicznym. Czymś, co ujawnia się dopiero na bazie tej zastanej konstrukcji cielesno-psychicznej, z niej czerpie, przez nią się wyraża i tak jak ona ma rysy wybitnie indywidualne.

Osobiście bliskie mi jest określenie „ludzki kształt duchowy”, bo chodzi tu o coś w najwyższym stopniu wpływowego i determinującego ludzką indywidualność. Kształt naszego ducha jest jeszcze bardziej zindywidualizowany niż kształty ciała i własności psychiczno-emocjonalne – być może właśnie dlatego, że to na ich bazie został on *zbudowany* lub raczej jest budowany na bieżąco.

24. *Dlatego to mężczyzna opuszcza ojca swego i matkę swoją i łączy się ze swą żoną tak ściśle, że stają się jednym ciałem.*

Dla uzmysłowienia, jak ścisła jest więź pomiędzy sferą dla uproszczenia nazywaną cielesną i sferą ducha, tekst posługuje się narzucającym się tu z racji

zastosowanej symboliki (*mężczyzna* i *niewiasta*) obrazem więzi małżeńskiej. Silniejszej i ściślejszej niż pierwotne więzi rodowe, a w ludzkim losie dokonującej się dopiero na pewnym etapie osobniczej dojrzałości, gdy już możliwa staje się samodzielność. Z ludzkim duchem dzieje się dokładnie tak samo. Dochodzi do głosu w wyniku długotrwałego procesu

wzrastania i dopiero w pewnym stadium dojrzałości staje się widoczny jego wpływ na życie danego człowieka.

Akt „dostworzenia” człowieka, w wyniku którego zostaje on obdarzony duchem, czyni z niego istotę jeszcze bardziej skomplikowaną, jeszcze bardziej wy-

25. *Chociaż mężczyzna i jego żona byli nadzy, nie odczuwali wobec siebie wstydu.*

rastającą ponad świat przyrody ożywionej – istotę cielesno-duchową. Każda z tych sfer jest w oczywisty sposób radykalnie odmienna od drugiej. Odmienność ta jest wzajemnie rejestrowana – do tego odnosi się to określenie *nadzy* – i jednocześnie dysponuje właściwą sobie wolnością, to znaczy zupełną swobodą manifestowania się – o tym mówi brak wstydu. Wynika stąd, że ludzka wolność ma dwojaki charakter.

Abstrahując na chwilę od toku biblijnej narracji, postawmy pytanie, czy w obrazie człowieka, jaki się z niej wyłania, rozpoznajemy nasz portret? Czy tak siebie widzimy? – jako istoty cielesne i zarazem duchowe? Cielesne na pewno, bo tego doświadczamy na każdym kroku, to podpowiadają nam wszystkie zmysły (rozumiejąc pod tym hasłem zarówno ciało, jak i całą złożoną sferę psychiczną, wszystkie ludzkie dyspozycje), ale czy duchowe? Gdzie ten duch miałby się przejawiać i w jaki sposób? Jeśli te dwie części ludzkiej natury są ze sobą rzeczywiście tak silnie szczepione, to muszą się dać zaobserwować jakieś ślady tego stanu rzeczy, jakieś fakty co najmniej niewytłumaczalne na jednym tylko gruncie. W tym miejscu przychodzą mi do głowy trzy przykłady.

Pierwszym jest fenomen nadziei. Nie chodzi o samą zdolność żywienia nadziei (na przykład na lepsze jutro) ani o nadzieję na to, że nasze wysiłki uwieńczy sukces. Chodzi o specyficzną nadzieję na dobro. Bywa, że przeczy jej rozum, który ocenia szanse, doświadczenie życiowe, czyli po prostu statystyka, przeczą jej uczucia (apatia, bezsilność) i wola, którą

paraliżuje brak możliwości działania, a nadzieja jest, odzywa się. Umiera ostatnia, jak zwykle się mówić, próbując nazywać ten fenomen. Skąd się bierze, skąd czerpie siłę? Nie jest wytworem naszych chcień, pragnień, potrzeby bezpieczeństwa albo pomyślności, bo w sytuacjach naprawdę trudnych, gdy oczekujemy już tylko klęski, ogarnia nas niemal panika, gdy stwierdzamy, że nadzieja jeszcze w nas żyje, jeszcze się odzywa. Jest przeciw nam, gdyż sprawia, że ból, na który już się zgodziliśmy, do którego powoli przywykamy, staje się znowu gwałtowny, nie do zniesienia. Świadomie uciekamy przed nadzieją, by zaoszczędzić sobie tych katuszy, ale na niej te nasze zwody nie robią wrażenia. Odzywa się głębiej, niż sięga najgłębsza tragedia, bardziej stanowcza niż osąd rozumu, niewzruszona w swej pewności (na czym opartej?), że czeka nas dobro. Że dobro leży u fundamentu świata i jest jego zasadą, a wszelkie zło tylko wybrykiem natury, doraźnym zaburzeniem. Jak sztorm, który nie na trwałe zmienia oblicze morza, jak nawałnica, która sieje zniszczenie, ale w końcu musi ucichnąć. Ta specyficzna nadzieja, nadzieja na dobro, którą napotykałyśmy w sobie, a której istnienie nie daje się uzasadnić na gruncie ludzkiej psychiki (bo wyrasta paralelnie do niej i niejednokrotnie właśnie jej siłom się przeciwstawia), wskazuje, że jest w nas jeszcze jakaś inna żywotna siła, która tę nadzieję powołuje do istnienia. Czym, jeśli nie aktem ducha, jest ta nadzieja dobra, osobliwa nadzieja, która sprawia, że z optymizmem i zaufaniem spoglądamy na nasze, skądinąd mało imponujące dyspozycje?⁴

Przykładu innego rodzaju dostarcza sposób funkcjonowania człowieka w ogrodzie wartości. Stykając się z wartościami, człowiek odpowiada na nie (ocenia je, przeżywa adekwatne emocje, broni ich lub je zaniedbuje...) w sposób, jaki podsuwa mu jego psychika, dlatego wcześniej zinterpretowano

⁴ Zjawiskiem do niej komplementarnym, a więc o przeciwnej notacji, jest duchowa rozpacz.

umieszczenie w ogrodzie jako równoznaczne z obdarzeniem człowieka bogactwem psychiki. Takie doposażenie człowieka w zupełności wystarczałoby, by mógł ten ogród wartości z sukcesem *doglądać i uprawiać*. Jednak przyglądając się temu uprawianiu wartości, dostrzec łatwo, że ramy tej aktywności nie wyznacza ani ludzka rozumność, ani emocjonalność, ani wola. Człowiek bowiem potrafi z niezwykłą uporczywością obstawać przy wartości.

W przeważającej większości jesteśmy aksjologicznymi omnibusami. Przechadzamy się po ogrodzie wartości, raz po raz sięgając po owoc z tego lub tamtego drzewa, w rytmie, jaki narzuca życie. Przyzwyczajone życie polega właśnie na tym, by z równą uwagą odnosić się do każdego z tych drzew. Ale świat aksjologii ma także swoich geniuszy. Ludzi wybitnych, których wędrówki po ogrodzie nie można nazwać przechadzką, ale podróżą do celu. Na pewnym etapie tej podróży dochodzi do „zlepiania się” osoby i wartości. Ów człowiek staje się wtedy dla swego otoczenia nie tylko symbolem, ale wręcz ucieleśnieniem wartości. Każdy jego czyn jest postrzegany jako etap na drodze realizacji owej wartości i, prawdę mówiąc, czymś takim rzeczywiście jest. A jednocześnie w zachowaniu tego człowieka nie widać ani nadzwyczajnego wysiłku woli, którego należałoby oczekiwać wobec niezwykłej konsekwencji postępowania, ani ideologicznego zafiksowania się na danej wartości przy jednoczesnym niedowartościowaniu innych, co tłumaczyłoby nadzwyczajną wierność raz poczynionym wyborom. Trudno też wskazać jakieś naturalne, prozaiczne przesłanki (zysk, satysfakcja), które wyjaśniałyby tak wielki stopień zintegrowania się osoby z wartością. To podpowiada, że na stopień tej integracji musi mieć wpływ jakiś jeszcze inny, niewymieniony tu czynnik aktywny w człowieku⁵. Nie

⁵ Ostatnio przeczytałam w prasie notatkę o mężczyźnie, który od ponad sześćdziesięciu lat czynnie uprawia pedofilię. Jest więc niemal osiemdziesięcioletkiem. Co w tym wieku popycha go do takich czynów? Skąd płynie

trafia się bowiem w olimpijskie rejony wielkiej sztuki wyłącznie w drodze doskonalenia warsztatu, nie osiąga się szczytów moralnych na zasadzie jedynie perfekcyjnych zachowań. W doświadczeniu wartości istnieje bariera, którą pokonać pozwala tylko autentyczne zaangażowanie duchowe.

Przykład ostatni dotyczy sprawy duchowego powołania człowieka. Rozumiem pod tym określeniem realizację pewnego projektu duchowego, który Stwórca składa w ludzkiej istocie w chwili stworzenia. Tak, jak precyzyjnie zaprojektował nas jako istoty biologiczne, tak samo zaprojektował nas jako istoty duchowe. Od nas zależy, na ile postąpi realizacja tego projektu. Projekt ten nie ma nic wspólnego (a przynajmniej nie musi mieć) z powołaniem społecznym tego człowieka, czyli z jego rolą społeczną (lekarza, księdza, nauczyciela...). Istnienie powołania duchowego odkrywamy, spoglądając na indywidualny los z perspektywy drogi, którą ten człowiek podąża. Wtedy dopiero widać, że to życie toczy się według pewnej myśli przewodniej, że oglądane z bardzo szczególnego punktu widzenia, od środka, jawi się jako niezwykle spójne, sensowne i konsekwentne. Strumień „przypadkowych” zdarzeń popycha je w określonym kierunku, trudności, nawet katastrofy widziane w tej optyce okazują się obfitować w błogosławione dla niego następstwa, a radości, dobra, szczęścia jest tam tyle, ile tylko może być bez szkody dla realizacji owego duchowego projektu.

Realizatorem tego projektu jest człowiek sam osobiście. To on podejmuje decyzje, on działa, rośnie, dojrzewa albo się degraduje w toku jego realizacji. Ale nie on tworzy projekt siebie – jego decyzje mają o wiele krótszy zasięg. Tak więc ponad

impuls? – od starczego ciała czy od dezintegrującej się na starość psychiki? Która z tych sfer rejestruje i potrzebuje tego rodzaju wynaturzonych doznań? Sądzę, że bodziec rodzi się nie w nich, bo ich głos z wiekiem wydatnie słabnie, a ponad nimi – w sferze ducha zdeprawowanego i wykoślawionego w ciągu lat tego rodzaju praktyk, lecz właśnie: uporczywego w swoich wyborach.

faktycznością naszego życia, ponad naszą walką o byt i uprawianiem drzew wartości, a jednocześnie w ścisłym z nimi związku, dokonuje się pewien proces, który nazwalibyśmy realizacją powołania duchowego. Proces, w wyniku którego konkretyzuje się i określa nasza sylwetka duchowa. Ten proces byłby pozbawiony sensu, nie wiadomo, ku czemu skierowany, gdyby człowiek był tylko istotą cielesno-psychiczną, wysoko zorganizowaną, ale tylko nagą małpą.

Podsumowując nasze dotychczasowe spostrzeżenia, stwierdzamy, że w wyniku celowego stwórczego działania Boga, w naturze człowieka dochodzi do jedyne w swoim rodzaju zespolenia się, wzajemnego przenikania i wspierania żywiołów materialnego i duchowego. Na skutek tego czyn odnoszący się do materii ma swoje reperkusje w świecie ducha. Człowiek funkcjonuje „na miedzy” dwóch światów, w świecie materii nie znajdując pełnego zaspokojenia, w świecie ducha nie czując się ni swobodnie, ni pewnie.

Zauważmy przy tym, że choć zasadniczo zmienił się mieszkaniowiec ogrodu – w wyniku kolejnych doposażeń stał się istotą nieskończenie doskonalszą – ogród nie wymaga żadnych przeróbek i nadal pozostaje miejscem jego przebywania. Nadal też obowiązuje Boży nakaz doglądania go i uprawy przez człowieka. Oznacza to, że natura wartości pozostaje w jakiejś szczególnej korespondencji z naturą człowieka. Innymi słowy, w kontakcie z wartościami bierze udział i znajduje dla siebie pożywkę zarówno człowiek cielesny, jak i człowiek duchowy⁶. I rzeczywiście, w ludzkim doświadczeniu wartości na etapie wstępnym chodzi o sprawy z gruntu przyziemne, o to, co ma znaczenie dla naszego tu i teraz, na etapie zaawansowanym – o formowanie i ostateczny kształt naszej sylwetki duchowej. Tym sprawom poświęcona będzie dalsza część tej książki.

⁶ Np. drzewo życia symbolizuje nasze życie biologiczne, ale i duchowe, odpowiednio do śmierci pierwszej i drugiej z *Apokalipsy*.